Nr. 48. Warszawa, dnia 15 (27) Listopada 1872 roku. ROK VIII.

Cena prenumeraty:

W Warszawie:

rocznie rs. 3 kop.—
półrocznie „ 1 „ 50
kwartalnie „ 75
miesięcznie — „ 25

Na prowincyi:

rocznie rs. 4 kop. 80
półrocznie „ 2 „ 40

OPIEKUN DOMOWY.

PISMO TYGODNIOWE

sprawom wychowania, rzeczom społecznym, nauce, literaturze i sztuce poświęcone.

Seryja trzecia.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* u Leitgebera; we *Lwowie* u Wilda Karola w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza.

Biuro Redakcyi: w Warszawie, ulica Nowy Swiat Nr. 30 (nowy).

SĄSIEDZI.

„Wolnoć Tomku w swoim domku“ powiada bajka. Pokazuje się jednak z jej treści, że zasada taka nie zawsze jest dobrą. Bo jeżeli Gaweł długo polował, Pawłowi z czasem zachciało się łowić ryby. Ileż to podobnych spraw nadarza się w życiu! Fortuny koło toczy się kręto. Społeczność to niby wielki dom mieszkalny, jest w niej pierwsze i drugie piętro, jest parter, poddasze i suteryny. Rzeknę inaczej... Świat cały w minijaturze, zeszedłby na niewielką osadę. Byłyby tam mniejsze i większe chaty, białe dworki, stary zamek w ruinach na górze, gdzieś opodal wysoki kumin fabryczny i sklepów kilka, handel trunków, urząd wójta gminy, szkółka, szpital, kościół i plebanija. Może to niestosowne porównanie — pozwólcie... pójdziemy dalej. Porosłe zbożem pola pokładły się na krańcach, wierzchy gór sinem pasmem obrysowały widnokrąg. Turkusowy błękit jasnem okiem słońca pogląda z góry.. wiatr szumi po równinach, kłos, ciężarną plonem głowę pochyla... krynica cichemi szemrze wodami. Do kogóż przynależą te skarby? Czy do pałaców i dworków, czy dla fabrycznego komina, czy dla chat niskich omszonym dachem pokrytych?

Wszak każden jest istotą żyjącą, potrzebuje pokarmu, powietrza,—słońca,—potrzebuje wypoczynku po trudach i owej szczypty pomyślności, która w jego rozumieniu szczęściem się zowie. Warunkami szczęścia—dobrobyt, oświata, wolność i zgoda. Pierwszy zapewnia praca, drugą nauka, trzecią rozumne ograniczenie osobistych zachcianek i popędów na korzyść drugich, czwartą szkoła rozumnego doświadczenia i dobra wola. „Zgodny sąsiad po zdrowiu i poczciwej żonie rzecz najdroższa“ powiada lud. Wierzmy słowom jego, one skarbnicą mądrości lat zaginionych. Ludność wioski, to niby społeczeństwo na małą skalę. Jest tam zamożny a mądry Walek, wymowny Grzela, pijak Maciej, włóczęga Piotrek, kłótliwy Stach. Ich wskazują za przykład starsi, ich szanuje lub lekceważy dziatwa. Garstka ludzi spoiła się węzłem, tak stosunków życiowych jak serca. Jest ona rodziną niejako, iluż tam kumów ilu krewniaków, a każden sąsiad i *swojak*. Czy to na kiermaszu, czy na odpuście, czy zabawie, swój ciagnie za swoim, i ujmuje się za nim i broni przeciw obcym napaściom. Miłość i w prostych sercach gości, może częściej niż pod eleganckim frakiem, trzeba tylko na nią zasłużyć. Złączmy chaty z dworkiem, dwór z pałacem, wioskę z wioską, ...posuńmy połączenie to w nieskończoność, a utworzy się państwo obszerne... z państw i krajów, ziemska kula. Elementem składowym tego zbioru... człowiek.

Nie wszyscy ludzie są jednacy, drabina społeczna liczne ma szczeble. Jedne niżej drugie wyżej—te wyzłocone tamte rzeźbione, owe oheblowane tylko, a ostatnie jeszcze korą pokryte. Stopa czasu jednako stąpa po szczeblach owych... pruchnieją, łamią się, padają w nicość, bo wszystkie z drzewa. Ludzkość to niejako fotografija spraw wszechświata. Są w niej księżyce gwiazdy i słońca, orły i bezlotki, wilki i owce, krokodyle i incheumony... jest pogoda, wichry—słoty... jasny poranek i długie ciemne zwątpienia noce.

Pszczoły mają swą matkę, żórawie przewodnika w podróży a strażników w spoczynku, stado stepowych koni najdzielniejszego biegunа obiera wodzem w gonitwach z wichrami po stepie.

Ludzkość także posiada wodzów na różnem polu. Ona potrzebuje nieraz nitki Aryjadny, w olbrzymim labiryncie życia. Dla jednych nitką ową pełna mądrości księga, obce kraje, słynne uniwersytety, i zakłady i szkoły wszelakie. Mniej szczęśliwym—zostaje kraj własny, jeszcze mniej—cząstka tegoż kraju.. ostatnim—miejsce rodzinne gdzie się wychowali i wzrośli. Do kogóż się uda po radę ów ostatni? Do ludzi których zna, z którymi żyje, a których rozumowi i przychylności ufa. Ludźmi tymi są jego sąsiedzi... przypuśćmy na chwilę iż pomiędzy nimi jest taki co o wiele wygórował nad innych. Szczęśliwe okoliczności postawiły go w takich warunkach, iż posiada majątek, naukę i pewne znaczenie. Nie zepsuła go jednak pieszczotliwa ręka losu, owszem ze skarbnicy wiadomości wyniósł przekonanie, iż powinien żyć dla siebie i dla drugich. Co więcej.. w umyśle jego zapanowała wszechwładnie myśl... iż człowiek jako jednostka społeczna, jako twór ziemski, pamiętać winien, że nie mieszka na pustyni, że murem niedostępnym ogradzają się tylko Chińczycy, a nawet leśna gruszka, produkuje owoce dla żyjących istot, a liść na użyźnienie ziemi z której czerpie soki. Dziwny to człowiek!... W gronie jemu podobnych odzywa się, iż najlepszą radą—jest *dobry przykład* i hojna ręka udzielająca zasiłek i pomoc w potrzebie.

ŚLADY ŻYCIA.

XXXIII.

Tyle życia, ile... w czynie.

P. Józefa Zdżarska raczyła nam zakomunikować *„Myśl o założeniu stowarzyszenia umysłowej pracy kobiet”*. Nie mogąc artykułu tego tak ze względu na jego obszerność, jako też zdaniem naszem, nie zupełnie ścisłe sformułowanie stawianych wymagalników, zamieścić całkowicie w szpaltach naszego pisma, pozwalamy sobie wszelako przytoczyć go w streszczeniu.

Szanowna autorka śledząc uważnie za rzeczywistym postępem podejmowanej w naszym wieku kwestyi kobiecej widzi zarazem i olbrzymie przeszkody na tej drodze napotykane. „Długą walką zapewniono już dzisiaj wszystkim kobietom mającym w piersi gorętszy zapał do tego wszystkiego co dobre, piękne i pełne prawdy, swobodę obrania drogi stosunkowo do sił ducha... Ale niestety, mniejszość tylko i to mniejszość tak duchowo jak i materyjalnie bogato od losu uposażona z tych znakomitych dobrodziejstw, z tych świętych trofeów dziewietnastego wieku korzystać może, dla większości zaś kobiet, które otrzymały przygotowawcze wykształcenie—większości ubogiej w środki materyjalne, wszelkie wyższe przybytki nauk są zamknięte“. W myśl zwycięskiej idei równouprawnienia p. Ż. zwracając się do siostrzanego grona tak przemawia: „Długo byłyście tylko niememi wzorami dla snycerza, malarza i poety, dziś możecie nie tylko pojąć mowę ducha, ale przemówić i same w duchu prawdy“. Niebawem jednak słyszy odpowiedź tych młodych sióstr swoich. „Niestety, my ubogo uposażone materyjalnie od losu, napróżno z zapałem zrywamy się do wprowadzenia w życie tego wszystkiego, co nam dnieje i promienieje w duszy młodej, brak nam gruntu dla rozległych celów braterskiej pomocy, a niekiedy i uznania“.

Aby zaradzić tym brakom p. Ż. proponuje założenie „Stowarzyszenia umysłowej pracy kobiet“. Materyjalne środki stowarzyszenia mogłyby powstać z rocznych składek 5-cio rublowych, z dozwoleniem większych, w miarę zamożności członków. Zebrany fundusz może być przedewszystkiem obrócony „na zapewnienie zdolnym, a ubogim dziewczętom, które już otrzymały elementarne wykształcenie, — wyższej nauki tak w śpiewie, muzyce lub malarstwie, jako też w językach obcych lub naukach ścisłych“. Utalentowane uczestniczki stowarzyszenia przyjdą ze szkolną pomocą „poświęcając swą pracę w miarę czasu i możności dziewczętom wziętym pod opiekę“. Prócz wzajemnej rady i protekcyi do jakiej stowarzyszone moralnie się zobowiązują, „z coraz większym rozwojem stowarzyszenia powiększą się i środki jego działalności dobro pracujących umysłowo kobiet mające na celu, jako to: tworzenie się czytelni, odczytów naukowych, jakiejś użytecznej instytucyi, wyższego zakładu naukowego dla kobiet i t.p. Z czasem stowarzyszenie przyjść będzie mogło i do środków zapewniających jej członkom byt niezależny stosownie do coraz większych zasobów nietylko materyjalnych, ale i duchownych“.

Oto treść projektu, który mimo sympatyi

„Nie wiele dać mogę“ mówi on „ale co mogę udzielam natychmiast i bez wymówki.“ Dwa razy daje kto prędko daje—pytacie dla czego szanują mnie drudzy. Jestem oszczędny, i pamiętam o sobie przedewszystkiem, bo inaczej o drugich nie mógłbym pamiętać. Przysługi które czynię są drobne napozór, ale pożyteczne. Mam piękne ziarno na zasiew, dobre konie w stajni, drobne bydło w oborze, bogate w runo owce. Cóż mi szkodzi za umiarkowaną zapłatę, bo zasadą moją *nie darmo*, użyczyć cząstkę dobytku *sąsiadom* moim. Pokrzyżowawszy lichą rasę ich koni z pięknym moim turczynem, widzę iż w okolicy coraz więcej rosłych i silnych źrebców.

Odprzedawszy za robociznę lub spłatę ratami część mego jałownika, cieszę się widokiem srokatych krów, pielęgnowanych przez żony i dziatwę mniej zamożnych współ-obywateli rolników. Oni nie mają na to środków aby wprowadzać na swoję rękę ulepszenia—zresztą są biedni i mało wykształceni. Czyż źle iż radą pokieruję ich rękę, a prowadząc postępową uprawę roli, fabrykując nawozy, karczując krzaki, osuszając błotne łąki—służę im jako wzór, i zachęcam słowem i czynem do naśladownictwa. Osada nasza w stanie ciągłego pochodu naprzód, produkuje coraz więcej, zamożność wzrasta, umysły pozbywają się starej rutyny. Zaiste nigdy nie miałem przyjemniejszych chwil w życiu i słodszego zadowolenia w pracy.

Niedawno kawałek pastwiska uprawiłem pod kapustę. Licha tam była trawa! wynawoziwszy dobrze, miałem zbiór znakomity. Już na rok drugi sąsiedzi moi poszli za przykładem. Podałem im nawet wskazówki jak postąpić wypada, i którą część gruntów wybrać aby praca niebyła daremną.

Wiecie o tem że prowadzę gospodarstwo mleczne. Aby mieć mleko trzeba dobierać odpowiednie krowy, i żywić je wedle systemu wskazanego przez naukę. Czeladź dworska chudobę swą na mojej trzyma oborze. Inwentarz wszelki musi koniecznie tyle przynosić, aby się opłacała żywność, obsługa, i oznaczony procent zysku szedł do kieszeni. Więc żonom służących doradziłem, aby sprzedały liche krowy mało dające mleka, a nabyły odemnie lepsze. Zaleciłem również że potrzeba karmu dawać obficie, i to dobrego, bo inaczej zamiast zysku będzie strata. Uczyniły to—i dzisiaj nabiału wystarcza nietylko na użytek domowy ale i na sprzedaż. Dajemy wszyscy na odrobek grzędy pod jarzyny wszelakie. Jednak ja, sprzedaję takie nasiona i wysadki, boć darmo kilkudziesięciu ludziom dawać nie mogę. Ale moja rozsada, moje nasienie buraków, moje kartofle są w najlepszym gatunku—staram się o to. Stąd służący korzystają zapomagając się następnie w swoje już własne dobre nasienie. Kupcy dobrze wiedzą że w naszej wiosce przednie gatunki jarzyn i zboża, więcej też za nie płacą. Sąsiedzi widzą to, udają się więc do mnie, nabywają co trzeba, i w ten sposób coraz dalej komunikują się małe ulepszenia gospodarskie, dobrobytowi pożyteczne.

Wytrzebiłem pagórki porosłe krzakami pod proso—spojrzyjcie, wszyscy karczują—posiałem szwedzką tatarkę, już sieją drudzy, kazałem oczyścić strumyk przez łąki płynący. Pytali mnie po co to czynię, oto widzicie woda źle z rowów odpływa, miejscami błotny grunt i rośnie na nim trzcina i szuwary, które krowom nie smakują. Jak podeschnie grunt, już nawet tegoroczny potraf będzie lepszy. Toć nie metafizyka, ale są tacy co i o tem nie wiedzą, nie wielka fatyga rzeknąć słów kilka, tyle ich wyrzucamy bez celu i potrzeby. Postawiłem kryte szopy na skład zboża. Wygodna to rzecz przy zwózce, nie marnuje się czasu na stawianie stert. Co dach to dach, sterta często jak źle postawiona skrzywi się, przyjdzie czas słotny, woda zacieknie do kłosa—zepsuje się się siła ziarna. Sąsiedzi już zabierają się do budowy brogów na małą skalę—i tak dalej—i tak dalej....

Dobra to gawędka powie niejeden, ale czyż wszędzie znajdują się tak ochotni naśladownicy. Są tak zakorzenione przesądy, tak uparte i zawistne umysły, że anioł z nieba przekonać ich nie potrafi. Ludzie ochotniej wierzą złośliwym podszeptom jak życzliwemu słowu, a osobliwie ludzie ciemni, bez miernego nawet wykształcenia. Bądź złotoustym nic nie poradzisz, człowiek nierozumny gorszy od zwierzęcia. Już to ostanie porównanie, nie wiele przynosi chluby ustom co je wymówiły. Jeżeli w społeczeństwie jest wielka liczba ciemnych, to społeczeństwo winno, że dotąd nie wynalazło środków, aby ich oświecić. A toć jest tyle pism rozmaitych jak maku! Zapewne, ale dla tych co umieją czytać. Zreszta „lepsze żywe słowo, jak zdechła skóra“ trywjalnie ale prawdziwie rzekł Mikołaj Rej. Jeżeli są niechęć zawiści i waśnie, jest ktoś co ma słuszność, a drugi ktoś co winny. Dużoby o tem mówić — chcieliśmy—gadaliśmy... a nikt nic nie zrobił. Co się stało odstać się nie może, gdzie się dwu bije, trzeci korzysta mówi przysłowie. Bywają godziny w życiu, w których żałujemy za grzechy, bywają i takie kiedy odbieramy zasłużoną karę. Kto zabrnął zbyt daleko w grząskie błoto, niech sie ratuje wszelkiemi siłami, inaczej zatonie w trzęsawisku.

Z ciemnym umysłem nic nie poradzisz! A toć żadne dziecko nie urodziło się doktorem filozofii. Nauczano je najpierw abecadła. Bierzmy tedy elementarz w rękę i poczynajmy od A. B. C. Uzbrojeni w cierpliwość, chęć szczerą i dobrą wolę, dojdziemy do ostatniej litery alfabetu, później nareszcie uczeń czytać potrafi. Gruszki to nawierzbie gruszki! niby to niemasz przeszkód? Jeżeli ów uczeń jest zepsuty złem towarzystwem, jeźli go wabią w koło gorszących uciech, dają cacka, grosze, piękne obietnice... cóż poradzić na to? przypuśćmy iż kiedyś targałeś go za ucho niesłusznie, zasadzałeś do kozy... dokuczałeś z tego tytułu żeś silniejszy... Sprawa dość zawiła... jednakże! prosić, narzucać się, przymilać, zbyt to rażąca przemiana roli, nawet dzieciak nie tak ograniczony aby się nie poznał na tem. Wielkiego tu potrzeba taktu, choćby nawet zaparcia się siebie... a cierpliwości przedewszystkiem. Później czy wcześniej otwierają się oczy po dniach zapomnienia, chłód rozsądku ostudza zawiści a ludzi łączą zobopólne interesa, chętnie się udają tam gdzie zysk korzyści pożytek pewny. Warunki takie zgotować należy, kto dużo obiecuje zwykle niedotrzymuje słowa. Urok obietnicy przemija, pierzchają mrzonki, powstaje rzeczywistość z jej potrzebami, z twardą szkołą przeszkód i przeciwności. Dogodna to chwila podania przyjaznej ręki, uprawna rola do rzucenia posiewu. Armija zajmująca niedogodną pozycyją, korzysta z czasu i cofa się zwolna, ostrożnie, aby nowe zająć stanowisko. Z tysiąca przykładów wiadomo, iż zwady sąsiedzkie kończą się zgodą, jeżeli jedna strona, ustąpi, choćby z małą stratą dla świętej spokojności. Powinność to obywatelska, zwłaszcza jeżeli poczuwamy się do winy, okoliczności rządzą pochodem dziejów, należy się stosować do atmosfery, w której żyć trzeba. Idźmy naprzód, kto nie postępu-

---

jaką mamy dla jego zasady wydaje nam się nie dość konsekwentnym w niektórych założeniach. Jeżeli to ma być stowarzyszenie w celu popierania pracy umysłowej, dla wyciągnięcia z niej przedewszystkiem korzyści materyjalnej (a zdaje się że tak życzy sobie p. Ż.) to nie należałoby kłaść na pierwszym planie wykształcenia w śpiewie, muzyce i malarstwie. Sztuki piękne nie popłacają, a przytem wykształcenie estetyczne w porównaniu do innych kierunków wiedzy najmniej jest zaniedbane, często nawet już dzisiaj nadmiernie bywa traktowane.

Wreszcie do historyi tej wrócimy jeszcze nie raz, tutaj nadmienimy że i autorka projektu nie uważa go bynajmniej za dokładny i wykończony lecz owszem jest zdania że szczegółowa ta ustawa może być opracowaną po należytej dyskussyi.

* * *

P. Klemens Podwysocki znany tłumacz Wiktora Hugo zapowiedział odczyt „*O przyczyczynach ostatecznych w obec materyjalizmu*“ i na odczycie tym rozwodził się szeroko nad... *teoryją Darwina*. Wszystkim tym którzy choć cokolwiek znają wspomnianą teoryję, a więc i panu P. wiadomo, że właśnie cała jej wartość polega na pominięciu przyczyn ostatecznych, jako dla umysłu ludzkiego niedostępnych, i na tłomaczeniu zjawisk natury organicznej wyłącznie przy pomocy przyczyn *naturalnych*. Prelegent pragnąc usunąć powyższą sprzeczność zachodzącą pomiędzy tematem a treścią odczytu, usiłował wzbudzić w słuchaczach podziwienie wobec tej okoliczności, że naturaliści, starają się unikać rozprawiania o celowości i przyczynach ostatecznych, z powodów dla prelegenta niepojętych. Ponieważ pan P. oświadczył, iż nie może doprawdy pojąć co naturalistom na takiem postępowaniu *zależyć może*, objaśniamy go, iż wszelka *nauka* byłaby niemożebną, gdyby zamiast wyszukiwać wszędzie przyczynu natrlanych, bliższych lub dalszych, powoływano się ciągle na *ostateczne pozaświatowe*. Cóżby powiedziano o naturaliście, któryby dla wytłomaczenia chociażby potworu o dwu głowach powoływał się na kaprys woli boskiej zamiast poprzestać na wyszukiwaniu przyczyn bliższych, naturalnych, które wywołały nienormalne rozwinięcie się płodu? P. Podwysocki, na początku odczytu oświadczył, że może w przyszłości zdołamy wyjaśnić sobie zawiłe tajemnice organizmów — a jednak w całym dalszym jego ciągu oburzał się na tych, którzy tak samo twierdzą. Wyłożenie głównych zasad teoryj było jasne ale przykłady niefortunne, zdradzały one, że prelegent nie posiada bliższej znajomości faktów, które z drugiej lub trzeciej ręki cytował. Wspomniał np. że zęby przodowe (siekacze) zwierzęcia *gryzącego*, mogą się przypadkiem zmienić z płaskich na ostre, podczas gdy właśnie zwierzęta *gryzące* wszystkie posiadają zęby ostre nie zaś płaskie. Zarzuty teoryi Darwina czynione, które prelegent podawał jako swoje własne, są dawno już znane i po tysiąckrotnie powtarzane. Niektóre zaś z nich te mianowicie na które prelegent najmocniejszy kładł nacisk nie mając żadnej podstawy.—I tak według p. P. największym szkopułem dla teoryi Darwina jest prawo zaznaczone przez Cuviera, a dotyczące zależności jednych organów ciała od drugich. Według tego prawa zmiana jednego organu, pociąga za sobą pewne zboczenia winnych sąsiednich. Zatem, konkluduje szan. prelegent jeśli się zmieni jeden organ, to i całe zwierzę zmienić się musi. I ten to warunek ma być *największym szkopułem dla teoryi Darwina*! Trudno rzeczywiście powiedzieć coś mniej logicznego—jeżelić bowiem zmieni się całe zwierzę, to zmiana taka musi przemawiać przeciw stałości cech, a więc za teoryją Darwina. Innym przykładem niekonsekwencyi prelegenta jest ta okoliczność, że na początku odczytu przyznawał dziedziczność

je ten się cofa, a wsteczność przesąd i duma, gubią wszystko i wszystkich. Chwiejny to umysł, słabe serce, co drży w obec przeciwności! Życie bez idei jest błąkaniną mizerną, egoizm i kastowość plagą rodzaju człowieczego. Gienijusz wieków nową pieśń zawodzi na rumowiskach przeszłości, co zaginęło... Kto pracowity, rządny, uczciwy, kto postępkami swojemi przyozdabia tarczę życia, kto danego słowa dotrzymuje, kłótni unika— winy przebaczać umie, ten wcześniej czy później zyska szacunek i uznanie. Eh deklamacyja! człowick ma dosyć jak pamięta o sobie, co mu tam nos wtykać w cudze sprawy. Jak sobie kto pościele, tak się wyśpi, nie jesteśmy bocianami aby świat czyścić!

Hola szanowny przeciwniku. Dajmy na to że jesteś czystym kłosem pszenicy, choć kto wie, może tam dużo plewy w tym kłosie. Wyrosłeś wysoko, całą głową przewyższasz inne mizerne kłoski, które obcisnął powój zagłuszył chwast i ziele.

Przychodzi gospodarz... spogląda i mówi. Ot jeden wybił się w górę—cóż mi z tego, przyjdzie wichura i słota, złamie go w pół, i zgnije marnie. Trzeba natychmiast chwast wyplenić, to i te drobniejsze skoczą w górę, podeprą tamtego co wyżej.

Ludzkość to nie owa „wieża siedmiu wodzów“ o której niesie podanie, iż cały jej zrąb niewidzialny, tylko w niebiosach błyszczą między gwiazdami, hełmy hetmańskie umieszczone na szczycie. Społeczeństwa budowa widna każdemu badawczemu oku. Jej treścią i podstawą mur, kamienie, cement, a nie gotyckie wieżyczki, nie herby, ornamenty i malowidła które czas zetrze. Glob ziemski dźwiga Atlas z barczystemi plecy, nie zwitek pargaminu lub pieczątka.

Jeżeli w powszednich wypadkach, ktoś dobrze radzi, nie od rzeczy posłuchać słów jego w ważnych okolicznościach, zwłaszcza jeżeli też okoliczności, nawet dającego radę dotyczą. Sąsiedzi co wspomagali się wzajemnie, w chwili kiedy szło o każdego z osobna, poradzą sobie w sprawach cały ich ogół obchodzących. Mogą również ocenić rozumnie kwestyję okolicy, nawet dość obszernej, bo logika i rozsądek jednakie znajdują zastosowanie, czy to idzie o kamyk czy o skałę olbrzymią.

Komu przypadnie przodownictwo? Ha weźmie je najgodniejszy, bo „wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi.“

HRABINA ELODYJA.

Powieść
Maryi Szeligi.

(*Ciąg dalszy*).

Beata patrząc na gorączkę, błyszczące oczy i blade lica Felicyjana, przypomniała sobie wydarzenie, jakie miała jeszcze będąc dzieckiem. W ogrodzie Saskim ktoś nieuważnie złamał piękną łodygę lilii, na której było cztery małe jeszcze pączki—Beata podniosła ją—wsadziła w wazon — i po miesiącu lilija rozwinęła się prześlicznie, choć łodyga bez korzeni schła po woli — i z ostatnim kwiatem uschła zupełnie. Biedny sparaliżowany na obie nogi Felicyjan, z białą klasycznych rysów twarzą, jasnemi włosami—szczupły i wątły—niepodnoszący się od dwu lat z łóżka w dwudziestym roku złamany na zawsze, wydał jej się bratem owej lilii. Felicyjan był synem ubogiego rzemieślnika—od dziecka okazywał niezwykłą chęć do nauk; poczciwi rodzice postanowili go więc kształcić, marząc, że kiedyś zostanie księdzem,—najwyższe jakie mogło być w ich wyobraźni stanowisko. Młody człowiek uczył się zapamiętale; dzień i noc pracował—ale do stanu duchownego nie czuł powołania. Tymczasem starszy brat jego Maciej został szewcem; siostry wyszły za mąż, rodzice umarli, jemu więc pozostawała jedyna droga—kapłaństwo, które dawało mu możność wejścia w inną sferę—nauki i niezależnej pracy. Felicyjan mieszkał przy bracie; w tymże samym domu Beata z ciotką zajmowały drugie piętro, i mała śliczna dziewczynka, szczególne na nim sprawiła wrażenie. Cztery lata ledwie było między niemi różnicy—łatwo zawiązali znajomość i dobra, litościwa Beata pożyczała mu często książek, i czytała co sama umiała.

Kilka lat tak minęło — Felicyjan kończył szkoły i drżał na myśl wstąpienia do seminaryjum. Beata przeniosła się do innego domu. Pewnego dnia idąc przez ulicę, Beata spotkała ludzi niosących nieszczęśliwego młodzieńca, który tknięty parliżem, utracił władzę w nogach—i padł niemogąc już ani kroku postąpić. Poznał ją—i tak błagalnie wyciągnął ku niej ręce, że poszła natychmiast odwiedzieć towarzysza młodości—i odtąd często bywała w domku poczciwego szewca Macieja, którego żona z dobrocią pielęgnowała brata męża. Wkrótce obecność Beaty, była konieczną dla Felicyjana.

Jedyną rozrywką dla niego były chwile z nią spędzone. Czytała mu książki i rozmawiała z nim, a piękna dusza kaleki z anielską cierpliwością znosiła swój stan smutny—rozwijając się pod wpływem Beaty jak kwiat pod dobroczynnemi promieniami słońca.

— Ty jeszcze wyzdrowiejesz Felicyjanie!— rzekła doń Beata, widząc, że zasępił się chwilowo.

— Straciłem już zupełnie nadzieję, siostro Beato!—niech się dzieje wola Boża!..., choć niekiedy — jam może niewdzięczny śmiałek Beato!... lecz niekiedy przykro i ciężko być takim niedołężnym —i nie uwierzysz jak dni wloką się pomału.

— Staraj się panować nad nudą i zabawiać się książkami lub myślą o przyszłości.

— Wątpię bardzo, aby dla mnie istniała jaka przyszłość, siostro Beato; lecz różne myśli przychodzą mi do głowy.

— Powiedz mi co z nich bracie Felicyjanie.

— Myślę nieraz siostro Beato o dziwnem zaślepieniu ludzi. Mimo instynktu wiodącego na drogę prawdy mimo rozumu i łatwości rozpoznania, co im czynić należy w obec Boga i bliźnich — oni błąkają się wciąż po manowcach, kłamią swoim uczuciom, głosowi sumienia i prawa —i idą niebaczni, gubiąc się i łamiąc szczęście swoje własnemi rękami. Skąpcy, oszuści, marnotrawcy, pyszni—wszyscy wiedząc że źle robią—odsuwają od siebie myśl o śmierci, a ciągle postępują jak dawniej, bez poprawy i żalu. Nie jest że to obłąkanie? i możnaż się dziwić, że tylu nieszczęśliwych na świecie? sami sobie zwichnęli przyszłość własną!..

— Twierdzisz więc że człowiek może zmieniać swoje przeznaczenie?

— Może.—Przeznaczenie jest zawsze dobre i szczęśliwe—istnieje w nas samych, *szatan*—żyje w naszej piersi. Kłamiąc sobie i prawdzie, na własną głowę ściągamy miecz kary.

— O! Felicyjanie czyż to ogólne prawo?—tyś przecież inny, a cierpisz tak bardzo.

— Mylisz się Beato! jam zasłużył — bo chciałem skłamać Bogu, przysięgając być dobrym kapłanem a nie miałem wcale powoła-

---

cech rodzicielskich—później zaś usiłował dowieść, że choćby dane zwierzę całkiem uległo zmianie, to jednak cech swych potomstwu przekazać nie może, a więc że tem samem dobor naturalny i walka o byt w niczem nie zdołają nam wytłomaczyć pochodzenia gatunków. Prelegent ciągle zwracał się z dawno oklepanemi zarzutami do samego Darwina, polemizując osobiście, i zapominając o tem że celem prelekcyi nie jest polemika poetów z naturalistami, lecz wyjaśnianie słuchaczom dobrze poznanych prawd nauki. Kiedyż nareszcie zasada ta stanie się myślą przewodnią pp. prelegentów tak w wyborze tematów jak i w umiejętnem ich obrobieniu z którego by słuchacze jaką taką korzyść wynieść mogli.

Co do strony zewnętrznej to odczyt ten podobnie jak i poprzednie odczyty p. Podwysockiego, odznaczał się starannością i potoczystością wysłowienia, grzeszył tylko mnóstwem wyrazów technicznych, których w odczycie publicznym unikaćby należało — gdyż objaśnianie ich wyrazami *francuskiemi*, jak to bezustannie czynił sz. prelegent — jest środkiem chybionym i najmniej na prelekcyi właściwym.

* * *

Młody botanik wychowaniec b. Szkoły głównej p. *J. Rostafiński*, który dalsze studyja nad botaniką, odbywa obecnie pod kierunkiem znakomitego botanika *de Bary* prof. w *Strasburgu*, napisał w języku niemieckim broszurę, p. t. „Florae Polonicae Prodromus“ (Uebersicht der bis jetzt im Königreiche Polen beobachteten Phanerogamen von J. Rostafiński). W swej pracy p. Rostafiński podaje najprzód rys historyczny wszystkich badaczów na polu flory krajowej, zastanawiając się obszerniej nad dziełami większej wagi, jako też nad roślinami nowo-znalezionemi w kraju. Następnie przechodzi do systematycznego wyliczenia gatunków, (podług systematu Braun'a) jakie dotąd w tym kraju zostały wynalezione przez różnych botaników lub nawet ludzi trudniących się tylko botaniką. Przy każdym gatunku znajduje się dokładne oznaczenie miejscowości, w których był znaleziony jako też nazwisko botanika, który takowy wynalazł. Materyjały do swej pracy autor czerpał, już to z dotąd napisanych flor, już też z licznych zielników, które niezmordowanie przeglądał. Według tej pracy w kraju naszym znajduje się 1325 gatunków roślin poznanych, (a mogą być jeszcze niepoznane). Jest to praca bardzo pożyteczna, stanowiąca przyczynek do poznania flory Polski jako najkompletniejszy spis gatunków znalezionych, spis oparty na źródłach wiarogodnych.

* * *

Mała liczba prac specyjalnych, oryginalnych, jaką literatura nasza poszczycić się może, skłonić nas powinna do skrzętnego notowania i popierania tego rodzaju wydawnictw, gdyż one tylko zapewnić nam mogą samodzielny postęp nauki w kraju. Dlatego też wspominamy tu jeszcze o przygotowanej już do druku pracy p. Antoniego Slósarskiego Magi. Nauk Przyro. p. t. „*Materyjały do fauny malakologicznej Królestwa Polskiego*“. W pracy tej jakkolwiek nieprzechodzącej rozmiarami drobnej broszurki autor streścił owoc kilkoletnich, pracowitych i sumiennych studyjów nad żyjącemi w kraju naszym *mięczakami*. P Slósarski przytacza 83 *gatunki* zebrane przez siebie i mieszczące się w 23 *rodzajach* a 8-u różnych *rodzinach*. Będzie to więc ważny przyczynek do studyjów krajowych i praca p. Slósarskiego, zapełni dla wiedzy naszej o faunie Królestwa Polskiego brak, który w sąsiednich prowincyjach usunęły już w części prace H. *Scholtza* (Szląsk), D-ra *Jachno* (Galicyja)—nieznanego autora (Poznańskie) i K. *Jelskiego* (Gub. Kijowska).

nia. Jak straszny to występek, dopiero dziś czuję! Być piastunem i strażą religii na zimno, z rachuby, bez natchnienia i namaszczenia danego z góry,—to świętokradztwo!—Kierować sumieniem ludzi, samemu nie słuchając jego głosu—to zbrodnia—za chęć spełnienia której, sprawiedliwie zostałem ukarany—mówił z ogniem Felicyjan.

— A jednak iluż mamy ludzi, nie z zamiłowania lecz z obowiązku, obierających jaki zawód i wypełniających dobrze i z przejęciem swoje obowiązki.

— Zawód kapłana jest różnym od wszystkich. Można bez zamiłowania być rzemieślnikiem, przez rozum odważnym, przez wstyd szlachetnym— ale dobrym kapłanem przez wyrachowanie, nigdy! Kapłan to powinna być istota wybrana, która przykładem swojej świętości nawraca i daje świadectwo prawdzie. Wpływ mistyczny księży na lud minął dawno.....

Kapłan winien ludziom zbłąkanym wśród zawieruchy życia świecić jak gwiazda przewodnia—jak latarnia morska, o której biedny rozbitek myśli z pociechą.

— Felicyjanie! jesteśmy ludźmi a świętość jest udziałem tylko czystych duchów!—odparła ze smętnym uśmiechem Beata.

— Nie siostro moja!— świętym można być na ziemi, a kapłan wybrany, powołany —powinien przez długie lata oczyścić się zupełnie z więzów światowych, zniszczyć w sobie wszelkie egoistyczne przywiązanie; a silnem, świętem uczuciem ukochać ogół. Dla tego gdyby to odemnie zależało, nauka w syminarjum byłyby może krótsza, mniej czasu zajmowałyby zgłębienia formuły—ale ksiądz, zanim by dostał ostatnie święcenie,—myślą, przekonaniem, czynem— musiałby dowieść że go jest godnym. Być może, że wtedy zmniejszyłaby się liczba sług kościoła— ale co po ilości, kiedy na tysiąc fałszywych proroków—lub bezrozumnych fanatyków lub biednych bezmyślnych machin— ledwo jeden *kapłan* się znajdzie?..

— Masz słuszność Felicyjanie! dotąd nie zgłębiałam nigdy tej kwestyi.... ale czuję prawdę słów twoich!—rzekła wzruszona Beata.

— Świętym można być na ziemi!— mówił dalej chory uroczystym głosem. Święta jesteś ty siostro Beato, pracująca dla siebie i drugich, wspomagająca słabszych sercem i czynem, szlachetna i wyższa nad grzechy i ułomności, gardząca przesądem, i pełna dobroci dla wszystkich bez wyjątku, nawet dla mnie biednego kaleki!... Świętym jest zacny i światły Emanuel—Świętym także jest brat mój— całe dnie ciężko pracujący bez szemrania— a wieczorem dziękujący Bogu, że go uczynił szczęśliwym, dając mu siłę i możność pracy, utrzymującej przy życiu żonę, dzieci i mnie co mu jestem ciężarem. I żona jego—święta niewiasta, cicho, łagodnie, zawsze z uśmiechem na ustach, gotowych do wyrzeczenia poczciwych słów współczucia lub pociechy. Święta jest i ta stara sługa, która cię kocha, jak własne dziecię, która całe życie przeżyła w pracy i poświęceniu. O! Beato dużo jest świętych na ziemi! więcej niż tych, których kanonizowali za czynny udział w inkwizycyi świętej!..

Beata z uwielbieniem patrzyła na twarz natchnioną marzyciela i mimowolnie łza popłynęła z jej oka.

— O bracie mój! i ty także jesteś świętym!... szepnęła.

— Panienko!—zawołała zbudziwszy się nagle Janowa —pewno już wpół do pierwszej minęło.

— Dobranoc! śpij spokojnie Felicyjanie,— powiedziała pochylając się nad zmęczonym Beata — i wziąwszy z kominka szklankę z łagodzącym napojem— podała ją, prosząc aby wypił.

— Dziękuję ci, siostro Beato!—mówił oddając wypróżnioną szklankę. — Dziękuję ci! dobranoc.

— Czy nie zmęczyłeś się zbytecznie? czy ci nie gorzej?—pytała z uczuciem.

— Nie! Beato! dobrze mi zupełnie—będę spał wybornie, śniąc o kwiatach i o tobie!..i uśmiechnął się łagodnie.

Beata uścisnęła jego rękę—okryła się swoim płaszczykiem, i miała już wychodzić—gdy Janowa zawołała:

— Mateusz idzie!—domyślił się że będziemy wracać i przyszedł nas odprowadzić.

Do izby wszedł niemłody człowiek, stróż domu w którym mieszkała Beata —i pozdrowiwszy szewcowę, całując rękę Felicyjana, rzekł z prostotą:

— Panienka już chciała iść sama!—nie pomyślała że stary Mateusz przyjdzie odprowadzić swoję drogą Panią—bo broń Boże! mogłaby spotkać jaka nieprzyjemność.

Z wdzięcznością uśmiechnęła się Beata do swojego obrońcy — i wszystko troje poszli do domu.

V.

Nazajutrz, słońce weszło zaglądając za firanki z muślinu, zbudziło Beatę—która uśmiechnęła się doń, jak do znajomego figlarza — i spojrzawszy na zegarek, powstała szybko— Była godzina ósma—Janowa zastawiła śniadanie—Beata ubrała się spiesznie—z równym pospiechem wypiła herbatę — i wkrótce już była na ulicy. Zręczna jej postać przybrana w szarą suknią, której jedyną zaletą był zgrabny krój i świeżość—zwracała uwagę przechodzących. Na niektórych twarzach malowała się wątpliwość, do jakiej ją mają zaliczyć kategoryi.

Swobodne ruchy, gustowny ubiór— ładna twarz ocieniona okrągłym pasterskim kapeluszem—wskazywały że to jest osoba pełna elegancyi, i dobrego gustu. Koszyczek na ręku— obok ładnych rękawiczek, które oznaczały kontury arystokratycznej ręki, o długich wysmukłych paluszkach—i maleńka nóżka obutasta rannie—stanowiły sprzeczność dającą do myślenia. To też dwu młodych ludzi widocznie z grona złotej młodzieży — szepcząc dosyć głośno różne uwagi i przypuszczenia, podążyli za nią wiedzeni ciekawością. Beata nie uważała że miała śledzących jej każde poruszenie towarzyszy—biegła prędko — minęła Krakowskie-Przedmieście, i skręciła na Tamkę znać dobrze z miejscowością obznajomiona.

— Wróć się Guciu! to pewno jakaś córka szynkarza uczciwego papunia i zacnej mamuni oberżystów. — rzekł jeden z panów niechętnie.

— Trzeba nie mieć oczu żeby ją o to posądzić— spojrz na nóżkę, ruch, ubiór. — Ja ci powiadam, że jest w tem jakaś mistyfikacyja, jakiś ukryty skandalik!—odparł drugi.

Tymczasem przechodzący pozdrawiali przyjaźnie Beatę—kilka razy przystanęła, aby pomówić z żoną rzemieślnika, która całowała jéj rękę.

— Nie mówiłem!—wyrzekł pierwszy tryumfująco.

— Ale czy nie postrzegasz z jakiem ją witają uszanowaniem? — to cóś znaczy!—zobaczysz Jerzy!—

— Niezrównany jesteś w swoich spostrzeżeniach! drogi *monsieur Lecoq!* odparł z przekąsem.

(*d. c. n.*)

---

* * *

Zaczynają się obecnie mnożyć studyja nad petami i powieściopisarzami zagranicznemi. Objaw to bardzo pocieszający, wiemy bowiem, że publiczność pragnie już nietylko czytać utwory obcej literatury ale i zastanawiać się nad ich estetyczną i moralną wartością. Świadomość celów, świadomość rozmaitych kierunków, jakie dają się spostrzegać w umysłowym rozwoju Europy, może przynieść nader pożyteczną naukę przy rozpatrywaniu naszych własnych stosunków. Pierwszy krok na tej drodze (w roku bieżącym) postawiła „Niwa,“ drukując piękne studyjum p. Zawadyńskiego o dwu poetach włoskich: Leopardim i Giustim. Dalej w różnych czasopismach nastąpiły studyja nad Oktawijuszem Feullet'em, Aleksandrem Dumasem synem, Walter Skotem, Alfredem Musset'em, Hugonem Foscolo i t. p. Wszystko to są znakomitości albo całkiem spółczesne albo też niedawno zgasłe, których sława na długo niezwiędłemi przyozdabiać się będzie laurami. Jak widzimy głównie rozpatrują się pisarze francuscy i włoscy. Z niemieckich możnaby wymienić obszerniejszą cokolwiek rzecz o jednym z najgłębszych powieściopisarzów—psychologów: Fryderyku Spielhagenie, którą drukował „Wędrowiec“.

Nie dziwimy się wcale temu dość stosunkowo licznemu szeregowi studyjów, gdyż one nie wiele wymagają zdolności i pracy, tyle już o tych wszystkich autorach napisano zagranicą, że można wcale ich nie znać a mimo to napisać wcale niezły traktacik historyczno-literacki. Tłomaczenie, przeróbka — są rzeczą nader dostępną dla wszystkich; wymagają tylko pewnej znajomości języka i przedmiotu. Wychodząc z zasady, że należy nam się zapoznawać ze wszystkiemi główniejszemi objawami działalności umysłowej u innych narodów, nie myślimy bynajmniej protestować przeciw tej skłoności do studyjów zagranicznych. Chcielibyśmy tylko zwrócić uwagę na jednę okoliczność. Wielcy nasi poeci—Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, nie mają jeszcze dotąd szczegółowego rozbioru, na jaki bez wątpienia nawet najskromniej o sobie myślące siły zdobyćby się powinny. Rozbiór Dziadów, Sonetów krymskich,—jedna monografija o Juljuszu—oto prawie wszystko, co dla wieszczów naszych zrobiono. Za granicą piszą się komentarze do jednego wierszyka Goethego; u nas nie ma np. dotąd oceny liryki naszej — chociażbyw całości jak najszczuplejszej. Brak wykształcenia estetycznego, zajęcie się krytyką i polemiką spraw bieżących—pozbawia nas głębszych i gruntowniejszych badań, któreby nam wykazały *znaczenie* poetycznych skarbów, których wartość wszyscy *czujemy*— ale czujemy tylko.

* * *

W Nr. 256 *Kuryjera Codziennego*, podano uczciwy i godny urzeczywistnienia projekt, który streszczamy poniżej:

Wielu młodzieńców kończących naukowe zakłady, jak giminazyja, uniwersytet lub specyjalne szkoły za granicą, po uzyskaniu dyplomów, długi czas szukają bezskutecznie odpowiednich dla swego ukształcenia zajęć. Na poszukiwaniach tych schodzą miesiące, a niekiedy lata i często się trafia że interesant zawiedziony w nadziejach, przyciśnięty niedostatkiem; chwyta wreszcie pierwszą lepszą posadę, nie mającą związku z jego uzdolnieniem, posadę na której i sam się marnuje i społeczeństwu nie oddaje wielkich usług. A przecież tyle różnorodnych gałęzi zajęć w kraju naszym potrzebuje ludzi ukształconych na których brak codzień słyszymy skargi.

Otóż *Kuryjer Codziedzienny* radzi, aby ludzie dla których nie obojętną jest przy-

SZKOŁY i WYCHOWANIE w DAWNEJ POLSCE.

(Przegląd historyczny od najdawniejszych czasów)

napisał

Alfred Szczepański.

(*Dalszy ciąg*).

Szkoły początkowe:

Jezuici w szkołach swoich nie trudnili się wcale wychowaniem początkowém, lecz w pijarskich i w gimnazyjach luterskich poczynano, jakeśmy widzieli, od czytania i pisania. Liczba szkół początkowych *miejskich* podniosła się znacznie. Zostają one pod zarządem duchowieństwa, władzą są synody; nauczycieli dostarczają akademije i szkoły jezuickie. Klas było zwykle dwie: *początkujący i donatyści*. W lepszych bywało nauczycieli 3: magister, bakałarz, kantor; jedynym warunkiem otrzymania posady było złożenie wyznania wiary trydenckiego. Fundusze były kościelne, albo gminne, fundacyje prywatne, *kożubalne* t. j. opłaty od protestantów i żydów *za spokój i bezpieczeństwo przed żakami*, w niektórych bywało *kwartalne* t. j. opłaty od żaków, niekiedy opał, mieszkanie, kawałek roli. *Wspólne dochody*, któremi żaki z nauczycielami się dzielili były: wigilije, anniwersarze, kolendy, pogrzeby, dziesięciny, stawianie ołtarzów.

Co do *szkółek wiejskich* wydają synody katolickie częste rozporządzenia, żeby przy każdym kościele była szkoła. Duchowieństwa obojéj płci było w Polsce w téj epoce 60,000, klasztorów 973—mylnym byłby jednak wniosek z téj liczby na liczbę szkół. Charakterystycznemi są ostrzeżenia synodów: żeby nauczyciele nie byli „opoje, gorszyciele i żeby trunków nie szynkowali."

Akademija Zamojska zakładała jako kolonije szkółki wiejskie w Ordynacyi Zamojskiej i po części w dyjecezyi chełmskiéj. Na Rusi zdarzały się po cerkwiach.

Tak *miejskich* jak i *wiejskich* uczono „czytać, mało co pisać, mniéj jeszcze rachunków, a dużo nabożeństwa."

Kalwini i Bracia czescy mieli przy każdym zborze szkółki elementarne, lutrzy niemieckie.

Szkoły miejskie poupadały po wojnach szwedzkich i kozackich za Jana Kazimierza, w skutek poniszczenia miast. Za Sasów nie które znowu się dźwignęły, ale wiejskich ubywało ciągle w Królestwie i na Rusi — a przybywało niemieckich w Wielkopolsce i Prusach—wraz z osadami niemieckiemi.

Szkoły żeńskie.

Wychowanie dziewcząt było domowe i klasztorne. Domowe ograniczało się na karności, dewocyi, czytaniu żywotów świętych i przygotowanie do wstąpienia do klasztoru. Zwyczaj ten za wpływem Jezuitów ogromnie grasował, przynosząc klasztorom majątki nowicyjuszek—o co na sejmach bywały spory.

Protestanci trzymali i do nauki dziewcząt ministrów.

Szkółki klasztorne żeńskie utrzymywały Wizytki, konwikta płatne dla dziewcząt szlacheckich w Warszawie, Krakowie, Lublinie, Wilnie. Zadaniem ich było wpajanie pobożności zewnętrznéj, katechizm, ćwiczenia duchowne; potem czytać, pisać, polityka t. j. manijery, taniec, fortepijan, śpiew, język francuski, roboty kobiéce: szkaplerze, konfitury, pierniki. Zakonnice były cudzoziemki – nie miały więc te zakłady żadnéj narodowéj wartości.

W takich samych konwiktach *Sakramentek* uczyły niewiasty świeckie.

Do *Bernardynek* w Warszawie, uczęszczały i *miejskie* dziewczęta. Szkoły te kształciły mniszki, dewotki, większa część wsiąkała do klasztorów, a które wyszły, bywały znarowione na cudzoziemczyznie, na lekkiéj literaturze francuskiéj. Nie było w tém klasztorném wychowaniu nic, coby dziewczęta na obywatelki nasze sposobiło. Książek używano tych samych, co u chłopców.

W téj epoce powstał klasztor (czasowe śluby) zakonnic u św. Jana w Krakowie. Jedynym ich obowiązkiem miała być, według reguły, edukacyja ubogich panienek. Zakład ich, najlepszy wówczas, był *publiczny*, majętniejsze dziewczęta mieszkały w klasztorze, w konwikcie, uboższe dochodziły. Uczono czytać, pisać, rachować, języków, muzyki, szyć, naprawiać bieliznę, prać, robić mydło, gotować.

Świeckich szkoł żeńskich publicznych wcale nie było. Mieszane były w używaniu, przeciw czemu synody zalecają „aby po szkółkach elementarnych dziewczęta razem z chłopcami w jednéj izbie się nie uczyły, gdyż to obraża przystojność." W szkołach takich dziewczęta uczyły się tylko czytać.

I szkółki przy zborach protestanckich były mieszane; gdzieniegdzie żony nauczycieli lub kantorów uczyły robót kobiecych. W Bojanowie do gimnazyjum luterskiego uczęszczały i dziewczęta.

W epoce téj z dziewcząt stanu szlacheckiego i miejskiego zaledwo „co setna umiała czytać, a co tysiączna pisać."

O nauce dla dziewcząt *wiejskich* oczywiście nie ma ani śladu. (*d. c. n.*)

PONAD PARYŻEM.

PRZEZ

Gustawa Dolińskiego.

(*Ciąg dalszy*.)

Ta pieczołowitość o zdrowie, i pokrowiec duszy jest charakterystyczną cechą — często wielce komiczną. Widziałem mężczyzn mdlejących, skoro im oświadczono, iż długą trzeba będzie zachować dyjetę. To też podczas oblężenia, nic bardziej nie dokuczyło jak niedostatek żywności. O tem wspominają wszędzie i zawsze. Mniejsza o wstyd i poniżenie, ale chleb czarny, ale pół funta mięsa, potrawka z kotów i szczurów! O! to było okropne! Woda czysta wywoływała kolki i burczenie, chleb razowy drapał po gardle, wina brakowało! Tak się użalał jegomość ważący co najmniej 250 funtów, poczesny episier, wielki zwolennik bonapartych, a przeciwnik Thiersa. Gdyby nie zapasik jaki zdołałem ukryć, byłoby po mnie, dodawał z westchnieniem. Przezacny obywatel! a dużo jest takich. Jednak już dosyć o gastronomii. Chciałem i tę kwestyją dla dopełnienia obrazu poruszyć. Kto chce widzieć paryżan prawdziwie zadowolonych, niech jedzie do lasku St. Mandé Vincennes i t. p. w dzień świąteczny.

Tam z krynolin robią się szałasy.

Płeć piękna w kaftanikach i wąskich spudniczkach, płeć brzydka tylko w płótnie, używa świeżego powietrza i swobody. Starzy i młodzi razem z dziećmi grają w piłkę, wolanta, jeżdżą na karuzelu, huśtają się, gimnastykują, lub rozłożeni na trawnikach używają wywczasu. Śmiech, żarty, gonitwy, skoki, tańce, słowem wesołość niczem niezakłucona.

---

szłość kraju i młodzieży, utworzyli kółko pośredniczące między tymi, którzy potrzebują i tymi, którzy je dać mogą. Do towarzystwa podobnego z całą łatwością zgłaszaćby się mogli interesanci, z całą też łatwością podobne towarzystwo odwoływaćby się mogło o opinię szukającego pracy młodzieńca, do władz zakładu który ukończył, lub do kolegów. Nie wątpimy, że ta zacna i praktyczna myśl zwróci publiczną uwagę i dobre wyda owoce; — smutny bowiem jest stan młodzieży kończącej dzisiaj nauki!

* * *

Koncert na dochód niezamożnych studentów Warszawskiego Uniwersytetu odbyć się ma 11 Grudnia o godz. 8-ej wieczorem w sali Ratuszowej. Przyjmą udział, w części deklamacyjnej pani Helena Modrzejowska i p. Aloizy Żółkowski, w części wokalnej pani Pęcherzewska p. Fileborn, a w części muzycznej panna Wanda Kątska i p. Apolinary Kątski. Również w koncercie tym wezmą udział: orkiestra teatralna i chóry Konserwatoryjum.

* * *

Jako nowy dowód *ciągłego postępu* w naszych gospodarstwach posłużyć może okoliczność, że niejaki p. Lilienstern dla jednej z kompanii berlińskich zakupił w królestwie lasów już za siedemnaście milijonów, a niektórych nawet wycinać nie chce—przewidując, że za lat kilka opłaciłby mu się przywóz drzewa z Prus do nas. Jeżeli tak dalej pójdzie to za lat kilkanaście przy bożej pomocy, będziem palić pruskiem drzewem, jeść pruskie grzyby, jagody i orzechy... Co za strata dla cywilizacyi, że nie możemy jeszcze powietrza sprzedawać pruskim kupcom...

* * *

W ostatnich czasach (jak to jedno z pism codziennych donosi), skład bakalii i delikatesów p. A. Stępkowskiego stał się magazynem *dowcipu, swobody, wesołości, wesela, dobrego humoru* it. d. a wszystko to dzięki transportowi nowego likieru: *Fleur Mousseuse de Cognac du High Life*, którego użycie sprawia taki skutek, „*jak promienięjące słońce na ożywienie umysłów i rozpędzenie najczarniejszej melancholii!!..*"

Frazes ten przekonywa, że od daty powyższego ogłoszenia, zakład p. A. S. staje do współzawodnictwa ze szpitalem Jana Bożego, gdzie również rozpędzają melanholiją; szkoda jednak, że nowa ta dobroczynna instytucyja tylko dla osób majętniejszych dostępną być może.

* * *

W tych czasach ma być udzielona koncesyja na wybudowania 100 wiorst kolei żelaznych w Królestwie Polskiem. Środkowym punktem tych nowych dróg ma być Lublin, od którego rozejdą się linije w czterech kierunkach: do Warszawy, do Józefowa nad Wisłą, do Tomaszowa nad granicą austryjacką i do Kowla w gubernii Wołyńskiej. Linija Warszawsko-Lubelska ma iść przez Iwangród w odległości mniej więcej 10 wiorst od Wisły, roboty około niej mają się zacząć na wiosnę roku przyszłego.

* * *

W przyszłą Sobotę t. j, dnia 30 b. m. Jan Maurycy Kamiński, członek redakcyi naszego pisma, mieć będzie w sali Towarzystwa Dobroczynności odczyt publiczny „O podziale pracy."

Pociągi spacerowe specyjalnie ku temu przeznaczone za małą opłatę, niespełna franka wynoszącą, przywożą i odwożą liczną publiczność.

Doktór, adwokat, profesór uniwersytetu, wszystko to skacze, kręci się i bawi przewybornie. Patrząc na ten tłum różnobarwny, myśli się w duchu: Ot szczęśliwe usposobienie, wygodny zwyczaj, a kiedy przyjęty nawet przez francuzów tak dbających o *politesse* we wszystkiem to nie musi być rażącym i niemoralnym. Zresztą co kraj to obyczaj.— My w wielu razach naśladujemy Francyją, moglibyśmy przyjąć od niéj swobodę obejścia i grzeczność.

Etykieta naszych towarzystw, często kończy się poziewaniem i śmiertelną nudą. Chorujemy na moralność w tych rzeczach, które w istocie niemoralnemi nie są, przyzwoitość i dobry ton przechodzą w sztywność, a pod pokrywką skromności, kryją się grzeszki takie, że niedaremnie powstało przysłowie: „Cicha woda brzegi rwie“.

Ale wróćmy do Paryża. Wyróżnia się on od reszty Francyi, tak obyczajami jak trybem życia. Wielkie miasta mają pewną cechę wspólną, więcej u nich nauki, więcej przepychu, więcej też zepsucia dochodzącego do zwierzęcości, do brudu i wyuzdanej rozpusty. Wielkie miasta to otchłań gdzie giną czyny jednostek, gdzie opieka łaskawych sąsiadów, i ploteczka jeszcze łaskawszych sąsiadek, ogranicza się najwyżej na kilka domów obok siebie będących. Ta swobodna atmosfera, niczem nie krępująca, ułatwia i udogania wszelkie występki i wybryki, a Paryż lubi nie żenować się. Wszystko co najlepszego w kraju całym zwożą na jego użytek, jest on ziemią obiecaną dla bogatych, błyszczy przepychem, otwiera gościnnie bramy, dla pełnej kieski.

Fermier lub przemysłowiec prowincyjonalny, pracują ciężko ale i zarabiają przyzwoicie. Życie ich jakkolwiek monotonne, jednak wygodne i dostatnie, nie zbywa na wszelkiej potrzebie. Płodna gleba, żywy ruch handlowy, łatwość komunikacyi, składają się na dobrobyt ogólny. Przytem francuzi nie chorują na panów, bardzo nawet majętni ludzie ograniczają swe wydatki stosownie do przychodów. Stąd niema bankructwa, rozrzutności bezmyślnej i swawolnego zbytku, jaki tylko w Paryżu śród młodych utracjuszów napotykać można. W pracy i oszczędności zaiste godni są naśladowania francuzi. Gospodyni domu, choćby miała duże kwoty do rozporządzenia, jednak zajmuje się skrzętnie, kontroluje cenę produktów, prowadzi rachunki, zagląda do kuchni. Francuz z dumą mówi o swojej żonie, kiedy jest dobrą gospodynią oszczędną, rządną i pamiętającą o wszystkiem.

Celują w tem żony urzędników, kupców, rzemieślników, słowem klasy średnio zamożne, bo o pracowitości uwrijerek wie każdy. Kiedy już zacząłem mówić o kobietach, muszę oddać sprawiedliwość paryżankom, że siedzieć z założonemi rękoma nie lubią. Czy to w ogrodzie publicznym, czy w domu, zawsze ich znaleść można z książką w ręku lub robótką. Jakże by inaczej utrzymać się mogła rodzina mająca szczupłe dochody? Kobieta zarabia prawie na równi z mężczyzną. Znam rodziny gdzie mąż pobierając pensyi 200 franków miesięcznie, nie mógłby wyżywić żony, siostry i kilkorga dzieci. Ale kiedy żona szyje trzewiki, siostra robi kwiaty lub stroje, kiedy nawet starsze dzieci pomagają w tej robocie — toć ziarnko do ziarnka z 200 franków zrobi się 400, 600 i więcej, bo są wprawne robotnice co nawet 9 franków dziennie zarabiają. Jedne udzielają lekcyje muzyki, rysunków, śpiewu, drugie idą do galeryi Louwru i Luksemburgskiej, aby kopijować obrazy, trzecie pracują w magazynach, kantorach i tak dalej—ale żadna nie biegnie z wizytką po mieście, żadna z rozłożonym na kolanach romansem pani George Sand, nie marzy o niebieskich migdałach. Niema czasu na ploteczki i promenadę, trzeba pamiętać o kuchni, o bieliźnie, pójść na targ, zrobić porządek w domu, bo służąca drogo kosztuje, służąca przychodzi dwa razy dziennie, stałą usługę może mieć ten co ma duże dochody a ludzie posiadający po 600,000 fr. kapitału, w lokai ani liberyją się nie bawią.

Powszechna fama głosi, że francuski są zepsute in summo gradu. Ha zapewne, jest klasa a raczej dwie klasy, co skromnością nie grzeszą. Są to wielkie damy i loretki — te ostatnie pod opieką Dumasa (syna) zostają. Alfred de Musset, ów namiętny piewca swojego ludu, setnie żałuje czasów, gdzie miłość była bezinteresowną — przepadły na wieczne czasy idylliczne wzdychania przy księżycu, uściski palące, bicia serc niewinne, gruchot gołębi. Turkawkom potrzeba grochu, złoconych piórek, szampana, a w niedostatku choć angielskiego piwa i kolacyi. Z rezygnacyją zdaje się na to poeta, mówiąc — „prenez le temps comme il vient, le vent comme il souffle, la femme comme elle est“. Hiszpanki według jego zdania, to królowe kobiet, kochają wiernie, mają serce gwałtowne i otwarte, ale noszą sztylet na sercu. Włoszki są lubieżne, ale szukają szerokich barków i mierzą kochanka krawieckim łokciem. Angielki wyegzaltowane i melancholiczne, lecz zimne i wymuszone. Niemki czułe i słodkie lecz nudne a monotonne. Francuzki dowcipne, eleganckie, namiętne, lecz kłamią i oszukują jak demony. Daleki jestem od absolutnego potwierdzenia słów owych, trudno być *arte peritus* w sprawach kobiecego charakteru, jednak zgodziłbym się na sąd o francuzkach. Czyż mam przytaczać sceny znajome wszystkim tak z oryginalnych jak tłomaczonych powieści, czyż mam plastycznie przedstawić Bulliér i Mabille. Wiemy o nich więcej niż o czemkolwiek innem. Jeżeli Mabille jest zbiegowiskiem cudzoziemców, a osobliwie anglików, których kieszenie fatalnie odpowiadają za towarzystwo płci pięknej, to Bulliér przyjmuje w otwarte ramiona cały zakład studentów prawa, medycyny i t. d. oraz tak zwanych Callicat, to jest subjektów i komisantów handlowych. Oglądając po raz pierwszy tak wesołą instytucyją, podziwiać można czem jest francuz kiedy się rozigra. Nie wiem dla czego na ścianach umieszczono nazwiska Mozarta, Rossiniego, Mayerbera, Flotowa i tak dalej. Powinnoby być ogromnemi literami wypisane dokoła Offenbach, boć to królestwo kompozytora Pięknej Heleny i Orfeusza.

Rozradował by się choreograf, zgorszył filozof, roznamiętnił pietysta, zasmucił kulawy.

(d. c. n.)

Korespondencyja Opiekuna Domowego.

Lwów dnia 1 Listopada 1872

Nic bez „ale.”

Dziwny to początek, przekonacie się jednak, że słuszność po stronie sprawozdawcy. Gdziekolwiek bowiem rzucić okiem, wszędzie szczerzą się braki. Jeżeli nawet powiemy, że ogólne zajęcie zwrócone na ten lub inny przedmiot, to i zajęcie owo tak nietrwałe, a co gorzéj tak nie wytrwałe, że brak myśli nieustannéj o tem co się poczęło, zabija rzecz poczętą.

Przechodząc do szczegółów, zaczynam od szkół. Uczniów we wszystkich zakładach naukowych pełno a nawet bardzo pełno. Przybyli o kilka dni później, chodzić musieli i żebrać, literalnie żebrać o przyjęcie. Niejeden, który chciał zapisać się do gimnazyjum, znalazł się nakoniec po wielu korowodach na ławie szkoły realnéj i odwrotnie. Za szczupłe tedy lokale szkólne publiczne i *brak* onych w ogóle, pozbawia się młodzież przyszłości... Opieszałości pod tym względem niepodobna niczem wytłomaczyć. Rada miejska miasta Lwowa, posiadająca nieograniczony samorząd, mianująca sama burmistrza, zabiera się od trzech lat do wybudowania gmachu na gimnazyjum i od trzech lat zasypia tę sprawę. Dotychczas z placu przy ulicy Halickiej nie uprzątnięto gruzów i kamieni, ażeby zabrać się raz do położenia fundamentów pod budynek szkólny. Trzy lata ciągnie się uprzątanie, ale w jaki sposób? Oto przez całe lato codzień, widzieć można na ogromnym placu pięciu a najwięcej dziewięciu robotników zajętych przenoszeniem gruzu z miejsca na miejsce. Tymczasem, jak mówimy dla braku lokalów marnuje się nie jeden może talent. Wszystkie prawie gimnazyjalne szkoły lwowskie mieszczą się w domach prywatnych, nieodpowiednich celowi. Na budynek szkolny, dla szkół niższych, tutaj zwanych elementarnemi, zdobyło się miasto.

W ubiegłym miesiącu odbyło się uroczyste otwarcie téj szkoły przy ulicy Zielonéj. Nie jeden mieszczanin lwowski poglądając z dumą na świeżo wzniesiony budynek, powtarza: „A co, przecie to dzieło nasze, a dziennikarze krzyczeli, że nic nie robiemy; tak stanie z *czasem* i gimnazyjum, ale nie od razu Kraków zbudowano.”

Ulubiony to frazes w ustach naszych wszechwładnych rajców, frazes który jest pokrywką lenistwa. Brak tedy wielu rzeczy, tylko nie ospałości, nie lenistwa. Ono to spowodowało, że przedsięwzięta w tym roku reorganizacyja urzędów miejskich, wlecze się już od roku blisko i zapewne w roku dopiero 1873 się skończy. Wszystko tu bowiem zależy od Rady miejskiej; sami panowie rajcy mianować będą urzędników i mianują ich też— z namysłem. Ale nie odrazu Kraków zbudowano, jakże więc zebrać się na radę od razu w komplecie, jeżeli zwłaszcza odbywają się posiedzenia po dwa razy na tydzień.

Smutne tu było położenie dosyć licznego zastępu urzędników miejskich—niedostatecznie wynagradzani, przeciążeni pracą, obarczeni często liczną rodziną, marnieli w nędzy. Dziś stosunek zmienił się o tyle, że z Paryjasów staną się lepiej trochę żywionymi murzynami. Trzeba bowiem wiedzieć, że praktykuje się tu rzecz niesłychana może w świecie. Oto każdy z panów radnych ma siebie za ojca miasta, ale nie w gorliwem pełnieniu obowiązków radnego szuka chwały — jeno pusząc się i nadymając w obec gminy, poczytując go za swą podeszwę— „My jemu płacimy” — oto zasada tych panów. A ponieważ my płacimy, to my *jemu zwymyślamy nieraz*, my go nie poczytamy za stworzenie Boskie, nam wolno obrażać go bezkarnie. Tak jest w istocie i gorzéj nawet.

Naprzykład... przykładów opartych na faktycznem zdarzeniu, życiu codziennem, możnaby tysiące powołać, ale nie chcąc nużyć, damy jeden nateraz.

Popsuła się gdzie droga w mieście, zawaliło sklepienie kanału lub dom grozi upadkiem, słowem okazała się potrzeba przedsięwzięcia naprawy, choćby bardzo naglącej, to nie mogą jej zarządzić ludzie fachowi, inżynierowie miejskiego urzędu budowniczego, ponieważ potrzeba do tego komisyi światłych rajców— światłych, nie mających wyobrażenia o rzeczy, o którą właśnie chodzi. Zebrał się nareszcie wydział z kilku ojców miasta, przybyli na miejsce. Urzędnik, inżynier, powiedział że to potrzebne a tyle i tyle kosztować będzie. Na to „my”, którzy mu płacimy, żżymamy się, wzruszamy ramionami z lekceważeniem i mówimy: „To zawielkie koszta, to być nie może”— a zwracając

się do kolegi radnego: „*tu* co pan go słuchasz, gdzie on tam co wie, nie ma doświadczenia." Urzędnik reflektuje, że obliczył ściśle, że wykonanie z resztą, jeżeli robota ma być prawidłowa, nie może być inne. Panowie obruszają się nato: „My obywatele płacimy aspanu za to, abyś robił jak każemy, bo nie jesteś tutaj do rady, my radzimy, to nasza rzecz."

To *my* weszło we Lwowie z tego powodu w przysłowie. Wielkie pretensyje, niedowarzone choć osiwiałe głowy i próżność— o to główne cechy czysto miejskiego społeczeństwa. Są i inni— zapewne, bo nic bez wyjątków, ale wyjątkowo także ci inni nie narzucając się na przewodników, pracują w cichości. Gdyby było inaczéj, gdyby więcéj szczerze pracujących i cokolwiek przynajmniej myślących, to widzielibyśmy owoce tych prac i postępu. Widzielibyśmy dźwigający się przemysł krajowy, dobrobyt, zainteresowanie się własnem dobrem, wyzyskanie pewnych danych, które są bezwątpienia; widzielibyśmy życie, nie to, które się porywa, sztucznie wywołane na chwilę, ale owo krzątanie się około tego co najbliższe. Mielibyśmy w takiem mieście jak Lwów szkołę przemysłową de facto, lecz nie jakiś zlepek, jakby na próbę utworzony, a wyposażony także jakby z łaski szczupłą subwencyją z kasy miejskiej. Istnieje tu bowiem obłęd formalny, że wszystko co się tworzy a czego jeszcze nie było, powinno być podtrzymywane poświęceniem. Śmieszne to, gdyby nie było smutne i nie świadczyło o nędzy moralnéj. Albowiem większość, po nici którą bym nazwał obłędem, przyszła do tego kłębka, który mieni być poświęceniem, w ten sposób że powiedziała: „Kiedy ci mądrzy panowie (adwokaci, literaci, dziennikarze, profesorowie, lekarze i wszystko co się liczy do inteligencyi umysłowéj, tak przez większą część mieszczan przezwane z przekąsem) kiedy oni powiadają, że to potrzebne, to niechże uczą, my nic nie damy, myśmy Bogu dzięki wychowali się bez tego, to i naszym dzieciom to niepotrzebne. Po co temu większéj nauki, który ma szyć buty, kuć żelazo albo wziąć topor w rękę."

Podobne pojęcia są także jedną z przyczyn, że bardzo skromna ilość wydawanych ksiąg co roku, zalega półki księgarskie, że wydawcy Lwowscy trwożliwie podéjmują się nakładów dzieł wszelkiej treści. Jedyną reprodukcyją, powtarzającą się co roku we Lwowie, to Kalendarze, ale jakże nędzne, na bibule i drogie do tego. A co za tytuły! Ponieważ wielu jest nakładców, każdy więc obmyśla jakiś tytuł, obiecuje coś nowego a w istocie daje nic.

Mówiąc o książkach, nasuwają się na myśl drukarnie. Z końcem bieżącego i początkiem nadchodzącego roku, powstaje trzy drukarnie nowe. Spółka zecerów zakłada drukarnię dużą; właściciel „Dziennika Polskiego" p. Rogosz otwiera także drukarnią własną, nareszcie księgarz przedsiębierczy Rychter, zamyśla o drukarni na wielkie rozmiary, parowéj, a nawet o wydawaniu pisma politycznego z Nowym rokiem. Byłby to trzeci polityczny dziennik we Lwowie. Czy to wróżba upadku stagnacyi umysłowéj w Galicyi? Wartoby doprawdy popracować nad usunięciem tego zastoju, a obudzić troskliwość o własny interes. Nie mamy tu bynaj mniej na myśli tego, co fałszywie dziś często bywa rozumianem pod interesem własnym. Byłby to tylko ład większy w domu i na ulicy, usunięcie próżniaków wałęsających się w bucikach werniksowanych i próżniaków obdartych i bosych. Byłaby to myśl jasna, więc pożyteczna; pamięć o jutrze, usuwająca,—mgliste—jakoś to będzie a dyktująca: tak być musi, bo na to w pocie czoła pracować będę głową i dłonią....

Lwów obfituje w polemikę, choć to niewłaściwe ocenienie, w swary raczej. Spory drukowane i żywem prowadzone słowem, nie mają na celu wyświecania jakichś kwestyj naukowych, pożytecznych zagadnień społecznych, ale są natury egoistycznej, tyczące się osobistości. Czy interesuje sią tem publiczność różnych odcieni, to rzecz inna. Mała garstka czytających musi czytać to, co jej dają; znudzeni tem porzucają nieciekawe bibuły a poczynający czytać nie znajdując nic zajmującego pytają, czy już nic nowego pod słoncem, prócz kłótni bez początku i końca. Młodzież czytałaby, ale niestety młodzieży ciekawej i chciwej wiedzy bardzo mało.

Koteryjek za to pełno i pocieszne zawierają się między niemi przymierza. Niedowarzony Büchnerzysta, cynik—zawiera ślub dozgonnej przyjaźni ze skrajnym ultramontaninem. Dla obu cel uświęca środki. Zajadły demokrata służy wiernie karmazynowi, słowem śluby cywilne w tym duchu prosperują. Potomstwem takich ślubów bywa najczęściej skandal, ale publiczność lwowska i w ogóle galicyjska tak przywykła do skandalów, że jéj nawet nie irytują albo i nie wierzy niejednemu, o czem bardziej na zachód posunięta Europa najmocniej jest przekonaną.

Za płód naprzykład fantazyi poczytują w Galicyi liczne koła dostojnych osób, skandal kolei Lwowsko-Czerniowieckiej. W Wiedniu oto najmocniej są przekonani, że książe Leon Sapieha i S-ka, którzy otrzymawszy koncesyją na tę kolej, sami także zostali przedsiebiercami budowy, wypłacając sobie za roboty niedołężnie zbudowanej linii, obłowili się grubo. Ministerstwo w Wiedniu przekonało się także, że ludzie narażeni są na niebezpieczeństwo podróżując, że kraj traci na tem—i wydelegowało sekwestra, a jednak, pomimo tego nawet faktu — znajdują się jeszcze niewierni Tomasze. Pokazuje się że ślub cywilny nie jest tak złą rzeczą, że zapuszcza trwałe korzenie zaufania w serca związanych nim. Wielu bowiem ludowców we Lwowie splątanych cywilnym ślubem z karmazynami, przeciera oczy i nie może dojrzeć *realnych* czynów i niemoralnych milionów głównych koncesyjonaryuszów Karkołomnej kolei.

Cholera bardzo oględnie zabierająca się do zdrowia Lwowian, ktoby odgadł, zrobiła wiele dobrego. Świetny magistrat ocknął się, zarządzono gorliwsze czyszczenie ulic, desinfekcyjonowanie i zarządzono ściślejszy dozór nad wiktuałami, przywożonemi do miasta. Nic nie zdołało poruszyć naszych ojców miasta, pomimo częstych zażaleń w dziennikach, deptaliśmy po błotnistych i zaśmieconych ulicach — dopiero gdy śmierć zajrzała w oczy, pomyślano, że lepiej sprawić pogrzeb nieczystościom i gruzom niżby nas miano wywozić na cmentarz; *nas*, którzy płacimy urzędnikom miejskim za to, aby dopilnowali teraz oczyszczania miasta,

Drugim dobrem, było znośne przedstawienie: *Balladyny* I. Słowackiego na scenie lwowskiej d. 30 z. m.—Mówimy znośne, bo jakkolwiek artystom niepodobna zrobić wielkich zarzutów i wykazać usterek znaczniejszych, to przecie całość nie wypadła zupełnie zadawalniająco. Przedewszystkiem międzyakty nużyły, powtóre artyści znużeni także, przeciąganiem się spektakiu od siódmej do pierwszej po północy, wypadali z ról, starając się ożywić sceny niepotrzebnym często krzykiem. O dekoracye postarano się odpowiednie, maszyneryi także nic do zarzucenia, tylko—pomimo uwielbienia jakiem przejmuje nas Słowacki —wyznać musimy, że to sztuka nie na scenę a przynajmniej nie dla ogółu. Teatr był przepełniony, a muzyka melodramatyczna pana Jareckiego podnosiła znakomicie urok scen wielu, w których nie obeszłoby się bez muzyki.

Najechała Lwów jakaś koczująca trupa niemieckich artystów i rozpoczęła przedstawienia w sali: „Domu Narodowego", gdzie co roku chroni się także wystawa obrazów. Teatr w obszernej w prawdzie sali, ale za szczupłej, aby przepełniona nawet pokryła znaczne wydatki— majętniejszych kilku Niemców pośpieszyli z subwencyją. Złożyli ją towarzystwu za-raz w pierwszych dniach. Dowód to, że ten „zmateryjalizowany" naród niemiecki, poczuwa się przecie do solidarności zawsze i wszędzie. A u nas oświata, chyba *Spes in Deo.*

T. S.

Do Redakcyi „Opiekuna Domowego".

W N-rze 43 w liście z Podlaskiego, między innemi powiedziano: „Wreszcie usuwa się przez takie wspólki największą wadę edukacyi prywatnej *brak współubiegania*". Zdanie to aczkolwiek zyskało dla siebie prawo obywatelstwa, nietylko u nas ale i wszędzie za nieomylne jednak poczytane być nie może. Współubieganie, podług mego starego doświadczenia, w dzieciach i młodzieży bardzo często zabija duszę, a prawie zawsze kazi serce; jest ono nasieniem, z którego rodzić się zwykły—zarozumiałość, próżność, egoizm i nienawiść między temi, co się kochać i wzajemnie wspierać powinni — a prawie nigdy, albo bardzo rzadko i to wyjątkowym sposobem, doprowadza do zamiłowania nauki dla tego tylko, że się jej rzeczywistą wartość poznało. Każde dziecko przynosi z sobą na świat żądzę wiedzy, co się objawiać zwykło przez jego ciekawość, którą wypada koniecznie zaspakajać nie mijając się z prawdą, o ile ich pojęcie znieść może, a nawet ciekawość tę ciągle zaostrzać. Tym sposobem dziecko w miarę postępu lat, coraz więcej nabierze zamiłowania do pracy umysłowej i nie będzie potrzeby później uciekać się do bardzo wątpliwego środka, jakim jest współubieganie, w celu wzbudzenia w nim tego, co przez niewłaściwe i nieudolne z nim obejście się utraciło. Dosyć porównać dzieci kmiotków i ubogich rzemieślników z pracy mozolnej utrzymujących się a niewykształconych, z dziećmi zamożnych i oświeceńszych, a przyznamy, że w pierwszych dusza zamarła, bo na ich nieustanne pytania była ciągła i jedyna odpowiedź: „dajcie mi pokój, nie nudźcie mnie", a nieraz i szturchaniec. Dzieci drugiej kategoryi, otrzymując stale mniej więcej zadawalające objaśnienia od osób otaczających, nabrały życia, pewnej śmiałości i rozgarnięcia, czego w pierwszych dopatrzyć niepodobna. Z tego się okazuje, że najważniejszemi nauczycielami dziecka są osoby otaczające go. To ich mimowolne powołanie jest mozolne, wymagające cierpliwości bez granic, łagodności, gotowości zawsze, a przedewszystkiem możności odpowiedzenia zręcznego a zawsze prawdziwego na szczebiotanie dziecka, aby go nie zrazić i fałszem nie nakarmić; na to potrzeba niesłychanie wiele wiadomości i trafnego sądu.

Nauczyciel z powołania stara się zwykle dać uczuć uczniom swoim wartość nauki, bo człowiek zwykle tego nie pragnie, czego nie zna; nabywa się zaś poczucia i zamiłowania nauki wtedy tylko, kiedy się ją pojmuje. Zrozumienie i pojęcie nauki przez uczniów zależy głównie od usposobienia i wprawy samego nauczyciela. Pedagog wytrawny, przemawiający słowem żywem, wpatrując się w oblicza swych uczniów, i z óez, w których cała odbija się dusza, czyta czy go rozumią lub nie. Do niego więc należy zmieniać sposób swego opowiadania dopóty, dopóki nie postrzeże, że trafił do przekonania wszystkich, a jeżeli tego nie dokaże, niech się wyrzecze swego stanowiska nazawsze, bo widać że się na nauczyciela nie urodził. Nie masz dziecka, (chyba całkiem upośledzonego na umyśle, co się do wyjątków liczy), któremuby nie dało się przedmiot naukowy do pojęcia

wieku zastosowany, łatwym do zrozumienia uczynić, na co tylko potrzeba daru wymowy i wszechstronnej znajomości rzeczy, a szczególniej anielskiej cierpliwości. Taki nauczyciel, który zdołał opanować umysły młodzieży, będzie wszechwładnym panem ich serca, a wtedy jego uczniowie przez miłość i poważanie współubiegać się będą między sobą, aby spełniając jego zamiary, pozyskać zarazem jego zadowolenie, i aby go niezasmucić, wzajemnie jeden drugiego będzie wspierał, zachęcał, pomagał w nauce i w dobrem postępowaniu i takie to jedynie współubieganie uważam za zbawienne dla młodzieży, a pożyteczne dla społeczeństwa; wszelkie inne więcej przyniesie szkody aniżeli korzyści.

Na dokończenie powiem jeszcze—że trzy czwarte dzieci obojej płci uważają naukę za karę. Przysłuchajcie się tylko, co mówią rodzice po domach, gdy sobie ze swemi swawolnemi pędrakami rady dać nie mogą. „*Poczekaj hultaju, uspokoisz ty się niedługo! przyjmę guwernera* lub guwernantkę, *zaprzęgnę cię do nauki a dopiero poczujesz*", albo „*oddam cię na pensyją*, lub *poślę do szkoły*". Otóż mamy nowy powód zniechęcenia do nauk i obojętności dla nich.

W piśmie niniejszem nie wyczerpałem wszystkich dowodów przeciw współubieganiu młodzieży w domach prywatnych i po szkołach, i dlatego ich tu nie przytaczam, aby to nie zakrawało na artykuł skończony do waszego pisma. Radzę Wam jednak, nad mojem twierdzeniem jasno tu wypowiedzianem, gruntownie się zastanowić i wszechstronnie przedmiot zbadać, bo gdybyście poszli za zdaniem listu z Podlaskiego, to mnie znowu zmusicie do odpowiedzi dalszej, a szkodaby było zajmować bez potrzeby miejsce w waszym „Opiekunie", któreby można czemś pożyteczniejszem zapełnić. Szczęść Wam Boże!

Prenumerator „Opiekuna Domowego".

PS. Znane mi są dobrze skutki *współubiegania w przemyśle i handlu*; ma ono za sobą dobrą i złą stronę; dlatego zaś wzmiankę tę robię, aby Was ostrzedz, że ekonomija społeczna nie jest mi zupełnie obcą.

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

PSZCZOLNICTWO I DZIEŁA O NIEM TRAKTUJĄCE,

przez Romana Grabowskiego.

(*Dokończenie*).

Następnie notujemy, że prowadzenie pasieki podług p. *R.* li tylko rojną metodą, jest nieracyjonalne, bo produkcyja samych roi jest za wielką w stosunku do zbytu jaki być może, prowadzenie pasieki li tylko miodnéj jest niemożliwe, co p. *R.* sam przyznać musi, jeżeli wierzy w prawdziwość słów swoich, że w mieście ginie matek 25% podczas wejścia do trutnia, a na wsi 15%. Dla tego system hodowli może być li tylko rojny lub rojno-miodny, a nie miodny jak utrzymuje p. *R.* i podaje aż trzy sposoby prowadzenia miodnéj pasieki. Nadto książka p. *R.* jest nieprzystępną dla ogółu raz dla ceny wysokiéj bo 1 rsr. 50 kop. nieodpowiedniéj w stosunku do wewnętrznéj wartości, powtóre jest nieużyteczna zupełnie dla pasieczników nie mogących hodować od razu pszczół w ulu ramowym z powodu większéj ceny takowego. Mimo wad, jakie wytknęlismy, z pomiędzy książek dotąd wydanych i obejmujących cały system hodowli pszczół, dziełko p. *R.* jest najlepsze, autor wprawdzie popełnił wiele błędów, ale czynem pokazał, że umie pszczoły chodować.

Drugą książką traktującą o pszczolnictwie jaką mamy, jest: Dokładna nauka dla pszczolników *Lubienieckiego*, druga edycyja poprawiona przez *Kluczenkę*. Tom III. Lwów 1872 r. Książka ta obejmuje naukę niedokładną—wprawdzie p. *Kluczenka* oczyścił ją od powtarzania ciągłego jednych i tych samych faktów, ale nie sprostował błędów i nie korzystał z najnowszych postępów pszczolnictwa w teoryi. Jest w téj książce wiele gawęd nie opartych na podstawach naukowych, tak jak by autor pogardzał pracą i kompetencyją obcych badaczy; szczegółowy jéj rozbiór znajdą czytelnicy w wybornéj broszurze pana *Cuny*.— Że zaś dzieło p. *Lub.* poprawione przez *Kluczenkę* nieozdobione medalem, autorowie niepremijowani za hodowlę pszczół, a cena rsr. 3 kop. 50, prawdopodobnie nieznajdzie ono wielu amatorów i przez to nie przyczyni się do rozpowszechnienia błędnych zasad jakie w sobie zawiera. Ktoby mógł sumę taką wydać na podręczniki i znał język niemiecki, niech się radzi dzieł rekomendowanych przez p. *Cuny*, kto zaś nie zna niemieckiego, musi czekać zanim p. *Cuny* nie ogłosi drukiem następnych części wybornego swego dzieła, a tymczasem niech stara się korzystać z uwag jakie ten autor wydał nad hodowlą pszczół i budową uli w 1871 r. w Warszawie, wraz z krytyczną oceną wszystkich dotąd wyszłych dzieł o pszczolnictwie. Broszura ta napisana z gruntowną znajomością rzeczy, autor poświęcił się prawdziwie dla dobra pszczolnictwa naszego.

Literatura pszczolnicza u nas pierwsze ma dzieło tak gruntownie i wybornie obrobione, a nawet inne gałęzie wiedzy nie bardzo mogą poszczycić się podobnie gruntownem dziełkiem. Zacny ten starzec poświęcił się pracy dla dobra naszego przez co zasłużył na uznanie i wdzięczność ogółu. Rozjaśnił nam smutną bo zacofaną pozycyją w jakiéj jesteśmy. wykazał do czego nas zaprowadziła zarozumiałość; jeżeli jego rady zastosujemy w praktyce, to wkrótce przekonamy się, że więcej zrobił od dotychczasowych naszych pseudoprzyjaciół pszczolnictwa.

Dzisiaj u nas, z powodu rozbudzenia się zamiłowania w pszczolnictwie, na każdym kroku spotykamy zamiast praktykanta uczącego się, jakiś genjusz, każdy mieni się być wynalazcą a nikt nie chce uznać wartości skromnej a sumiennnej pracy; tacy to profani swą nieświadomością są przeszkodą dla rozwoju nauki.

Takie właśnie odzywanie się pseudo-znawców i rozkrzewicieli u nas pszczolnictwa, ośmieliły mnie wziąść pióro do ręki. Czuję swą nieudolność, ale w imie dobrej sprawy i rozpowszechnienia ulubionego przez nas pszczolnictwa, postanowiłem odezwać się w tej kwestyi. Ledwo wyszła pierwsza część pracy szanownego p. *Cuny*, już jedni odmówili mu nauki, inni zadecydowali, ze zna pszczoły i budowę uli, tylko z ziemieckich książek. Szanowni znawcy! nie wykazujcie swojego nieuctwa w tak smutny sposób.

Szanując powagę p. *Cuny* i zgadzając się z nim prawie we wszystkiem, jednakże ubolewam nad tem, że się nie nauczył ocenić i uznać prawdziwego poświęcenia i zasług dla pszczolnictwa ks. Dolinowskiego.

Błędy ostatniego popełnione tylko z powodu nie obznajmienia się gruntownie z naukami przyrodzonemi, zawsze jednak rozpowszechniając ul *Hubera* zasłużył się pszczolnictwu, a pisał nie dla sławy lub zysku.

Ocena ula Huberowego p. *Cuny* jest nietrafna w uwagach na str. 36 z 1871 r. p. *Cuny* utrzymuje że nie dogodnie wyjmować w górę ramki *Hubera* z futerału ks. *Dolinowskiego*, porównywając go z szafą z której dogodniej jest wyjmować suknie z boku aniżeli przez otwierający się wierzch. Porównanie to jest mylne, gdyż ul *Hubera* jest leżak i jako taki porównany być powinien nie z szafą lecz z kufrem, z którego naturalnie każdy przyzna za dogodniejsze wyjmować rzeczy w górę nie zaś z boku. Wyjmowanie ramek w górę ma i tę dobrą stronę, że w każdej chwili, kiedy zachodzi potrzeba, można wyjąć pojedynczą ramkę bez wyjmowania innych co w stojaku nie da się zrobić. Dzisiaj skoro dowiedziono że leżak jest równie dobry jak stojak, gdy ramki rodne są w jednem jak w drugim równej wysokości, to leżak czyli ul taki w którym magazyn miodny jest z boku, dogodniejszy jest przy administracyi pszczołami, jak każden z hodujących w jednym i drugim ulu praktycznie może te kwestyją roztrzygnąć. Inne błędy wytknięte w dotychczasowem urządzeniu ula ramowego są rzeczywiste i koniecznie je trzeba usunąć co nawet nie przedstawia zbyt wielkiej trudności. Od kilku lat zajmując się racyjonalną hodowlą pszczół, pobudowałem futerał o podwójnych ścianach do ramek *Hubera* a widząc niedokładności w ówczesnej budowie ula starałem się je usunąć i tak poprawiony ul w budowie futerałów w 1871 r. przywiozłem jeden dla Towarzystwa pszczolarzy w Warszawie. drugi dla p. *Adama Mieczyńskiego*. Po wyjściu dziełka p. *Cuny*, uzupełniłem w poprzednim ulu wszelkie niedostatki podług wskazania jego i dla tego mam nadzieję, że p. *Cuny* będzie rehabilitował ul Hubera i zechce pomieścić mój opis ula ramowego w następnych częściach swego dzieła, który to ul w kilku nawet pasiekach przezemnie urządzonych wprowadzony został.

Dziś wszelkie ule dzielimy na ule z plastrami *stałemi* i *ruchomemi;* sądze więc że te ostatnie, dla pogodzenia zwaśnionych stronników *Dzierżona*, *Hubera* (lub ks. *Dolinowskiego*) możemy nazwać „Ule Dzierżono-Huberowskie". Oprócz zbudowanego futerału odpowiadającego wszelkim warunkom racyjonalnej hodowli, zrobiłem zasuwkę do wylotu, której model kilka tygodni temu zostawiłem w Redakcyi Gaz. Rol., obecnie urządziłem dogodniejszą zatworę t. j. ramkę brzeżną, której opis w swoim czasie podam w jednem z pism z rozbiorem krytycznym normalnego rozmiaru ramek.

Roman Grabowski.

SPROSTOWANIE.

W N-rze 47 Opiekuna, str. 372 w odcinku, szpalta 1-a wiersz 20, opuszczono całe zdanie. Należy czytać: „nieco popularniej od poprzednich rzecz traktuje; chociaż i tu w wiadomości o alkoholu i jego otrzymywaniu (N. 2) *zdałoby się* przystępniejsze wypowiedzenie".

Дозволено Цензурою. — W drukarni Jana Jaworskiego. Warszawa, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Wydawca, Wacław Szaniawski. Redaktor, Henryk Perzyński.

Patrz Dodatek